

Do ostatniego okruszka

AUTOR: ŁUKASZ MACIEJEWSKI

Za dyrekcji Bogajewskiej zespół artystyczny Teatru Ludowego nie tylko okrzepł, ale też niejednokrotnie potrafił zaskoczyć, a nawet zachwycić. Tak jest również w *Wujaszku Wani*.

■ Oglądałem ten spektakl latem, w długie upalne popołudnie, przechodzące z wolna w upalny wieczór. Scena pod Ratuszem Teatru Ludowego, centrum krakowskiego Rynku. Do teatru można dostać się wąskimi schodkami, wymijając kelnerów wnoszących do ogródków piwo. Turyści, kaskady śmiechu, trochę rozpaczliwa próba zaklinalnia losu, że pandemii nigdy więcej nie będzie. Bo jest lato, słońce, alkohol. Nie ma za to Czechowa. Na rozgrzanej płycie krakowskiego Rynku z kiczowatą bryłą Mitoraja trwa wakacyjny festiwal zagadywania losu. Wystarczy jednak zejść tych kilkadziesiąt schodków, wyminąć zmęczonych kelnerów i bar, żeby Czechowa odnaleźć, posłuchać, zostać z nim. Pan doktor od smutku nie wypisze recepty na szczęście, ale jak nikt potrafi zdiagnozować stan zawieszenia pomiędzy latem na krakowskim Rynku a melancholią na scenie.

Dla zdecydowanej większości widzów było to z pewnością kolejne spotkanie z *Wujaszkiem Wanią*. Znamy bohaterów, niektóre dialogi, wiemy, do czego to wszystko zmierza. Mimo to tekst Czechowa wciąż zaskakuje. Opowieść o klęsce, historia przegranej utkanej z małych liter, bez pretensji do wielkich, znowu uderza przenikliwością. Zmienia się wszystko, nie zmienia nic. W spektaklu Bogajewskiej jest przecież podobnie jak w większości inscenizacji *Wujaszka Wani* – to ta sama opowieść o pracy i o ofierze, o trwonieniu czasu i rozżaleniu, że mija, że nie udaje się go wypełnić wartościową treścią, nie udaje się również z nim wygrać. I jeszcze o miłości – uczuciu,

które z reguły nie pojawia się, kiedy potrzeba, nie trafia do zainteresowanego albo nie zostaje odwzajemnione. O tym mówi Czechow w *Wujaszku Wani*, o tym opowiada większość nie tylko klasycznych dramatów, a jednak w spektaklu Bogajewskiej, być może nie było to do końca zamierzone, na plan pierwszy wysuwa się inna jeszcze intuicja. Czechow mówi najmocniej o strachu, o lęku przed nudą, i przed brakiem nudy, o lęku przed miłością, i o lęku przed życiem. Przed życiem najbardziej.

Oto oni: Aleksander Sieriebriakow grany przez znakomitego Kajetana Wolniewicza, piękna Helena – Roksana Lewak, Sonia – Maja Pankiewicz, Iwan – Piotr Pilitowski, wreszcie Astrow – Piotr Franasowicz. Mówią, przeproszają, zwierzają się, piją, jedzą. I bardzo się boją. Rozmowa jest swego rodzaju schronem, i zwierzenie jest schronem, jeżeli tego zabraknie, skończy się kruche *status quo*, zacznie walka o przetrwanie, aż do kolejnych słów, zwierzeń, do zapijania milczenia wódką. W tym momencie, tak poczułem, rozgrywa się jakiś absurdalny dialog pomiędzy górą a dołem, rzeczywistością na płycie Rynku Głównego w Krakowie a małą sceną Teatru Ludowego pod Ratuszem. Na górze śmieją się i krzyczą, na dole szepczą raczej i płaczą. Chodzi jednak w gruncie rzeczy o to samo. Strach przed. Przed tym, co nastąpi i czego nie będzie. Człowiek Czechowa nie tylko się boi, on się również wstydzi. Zawstydzić można się wszystkiego, życia przed wstydem, i życia po wstydzie. Bohaterowie *Wujaszka Wani* mówią wciąż o poświęceniu dla innych, o ofierze, ale

to również ten sam strach, ten sam wstyd. Porażka ma różne wymiary i rozmiary. Ktoś się dobrze zapowiadał, ktoś mniej pił, ktoś częściej śpiewał, ale musiał przestać. Sprawa, rodzina, praca okazały się ważniejsze. W większości, poza starym Sieriebriakowem, są jeszcze młodzi, wiele mogliby zrobić, postarać się przynajmniej. To się nie uda. Oni się wstydzą, a boją może nawet bardziej, niż wstydzą.

Wujaszek Wania w Ludowym to nie jest Czechow przeładowany, wizualnie rozbuwany. Przeciwnie, scenografia Anny Marii Karczmarskiej jest więcej niż umowna. Trwa niekończący się remont. Folia ochronna pokrywa pianino, robotnik (Piotr Piecha) wciąż coś dłubie, przeszkadza, drażni rozdrażnionych. Tylko filizanki zdradzają wcześniejszą urodę miejsca, tylko dźwięki rozstrojonego pianina sugerują, że kiedyś być może śpiewało się tutaj, tańczyło, a w użyciu był samowar. Przeszłość pracuje nadal, podczas gdy teraźniejszość przestała się wysilać. Wspomnienia, nawet smutne, łagodzą strach, pozwalają przetrwać. Zapomnieć chociaż na chwilę. Ten akurat motyw wydał mi się tożsamy z czasem, kiedy znowu chodzimy do teatru, jeszcze trochę niepewnie, nieufnie spoglądając na sąsiadów, zwłaszcza kiedy ukradkiem zdejmują maseczki. To jest niepewność czasu przejściowego, który się jeszcze nie określił, nie ma żadnej pewności niestety, czy został dany na zawsze, czy tylko na chwilę, do momentu kolejnego zamknięcia, kolejnego teatralnego lockdownu. W takim czasie, idąc za bohaterami Czechowa, można ukryć się za wspo-

mnieniem z lepszych teatralnych Czechowów, i lepszego życia. Ukryć za czasem, który był.

Małgorzata Bogajewska w kolejnym podejściu do Czechowa (w 2014 roku, w Teatrze Dramatycznym w Warszawie, wyreżyserowała *Trzy siostry*) pozostawia dramat poza czasem. Współczesne są kostiumy i scenografia, uniwersalne relacje międzyludzkie. Przy takim założeniu tym mocniej wybrzmiewają partie aktorskie, a trzeba powiedzieć, że za dyrekcji Bogajewskiej zespół artystyczny Teatru Ludowego nie tylko okrzepł, ale też niejednokrotnie potrafił zaskoczyć, a nawet zachwycić. Tak jest również w *Wujaszku Wani*.

Najważniejsza jest Sonia grana przez Maję Pankiewicz. To wobec Soni ogniskuje się większość wydarzeń scenicznych, do niej wreszcie należy poruszający finał. Sonia wobec Wani, Heleny, Astrowa. Bogajewska przy udziale Pankiewicz nie odczytuje na nowo tej postaci, nie chodzi zatem o reinterpretację, a o uważne, rzetelne zrozumienie tekstu, przeczytanie go z maksymalną powagą. Sonia w gruncie rzeczy mogłaby być taka jak Helena. Mówi: „Jestem brzydka”. Nie jest. Przyzwyczała się jednak do przyzwyczajania na własny temat. Do oprawy, która jest, jaka jest. Ci sami ludzie, te same filizanki, nawet uczucie niezmiennie, umieszczone nie pod tym adresem, pod którym powinno się pojawić. Ciekawe, że to właśnie Sonia burzy spokój miejsca. Ten anioł, ta potulna. Nie jest złośliwa, na pewno nie jest cyniczna, chce dobrze,

dobrze dla wszystkich, trochę także dla siebie, ale „wszyscy” są ważniejsi. Wujek, ojciec, praca, przywiązanie. Mimo to ta święta, ta piękna, trochę jak Iwona u Gombrowicza, przeszkadza samą obecnością, wyzwała podświadome pokłady niemocy, a może wstydu i rozżalenia, że nie każdy może być Sonią, ale i ona sama pewnie wolałaby być kimś innym. Zgrzeszyć, zakochać się, zadurzyć i pić wódkę z Astrowem. Nie zakocha się, nie napije, nie zmieni. Dobrzy ludzie mają (jeszcze) gorzej.

Iwan Wojnicki w ciekawej interpretacji Piotra Pilitowskiego wydaje się lustrem Soni. To są te same dwa oblicza, dwa profile osobowości bohaterów, stających w kontrze do pozostałych. Są jak inni – smutni i przegrani, tylko może nie zawsze się do tego przyznają. Wania może chciałby być inny, czasami powie coś nieprzyjemnego, powie szczerze, krzyknie i huknie, przecież szlachetność została mu przypisana niejako z nadania, a to nie tylko przyjemność, także balast. W tym układzie Astrow Piotra Franasowicza, inaczej niż w wielu odczytaniach tej postaci, jest bohaterem z prowincjonalnego romansu. Afekt, którym obdarzają zakompleksionego przeciętniaka dwie zakochane w nim kobiety, jest afektem bezradności. Jeżeli dookoła nie ma wiele, czy raczej nie ma zbyt wielu, zostaje w końcu jedynie przygaszona, przyprószona młodość Astrowa z dawnymi aspiracjami, talentami, marzeniami. W tamtych dawnych marzeniach można się było rzeczywiście zakochać, ale teraz? Tylko bezradność, tylko nuda.

Można oczywiście domniemywać, że Helena (Roksana Lewak) przestałaby się nudzić, gdyby znalazła w życiu sens, znalazła pożytek, ale nawet się już nie stara. Jest jeszcze taka młoda, taka świeża, a przecież ją także zaczyna drenować ta sama erozja, która dotyczy wszystkich bohaterów dramatu. Wszystko, i ciało, i wnętrze, przykrywa ta sama folia ochronna, którą w przedstawieniu zasłania się meble, krzesła, sprzęty. Folia jest jednak cienka, nie chroni i nie ochroni, wydaje się tylko pudrem, makijażem, spod którego po zmyciu wyłaniają się naga dusza i nagie ciało. Stare ciało profesora, upojone alkoholem ciało Astrowa, zmęczone ciało Iwana, nieszczęśliwa cielesność Soni.

Bohaterowie Czechowa w przedstawieniu Małgorzaty Bogajewskiej cały czas coś jedzą, piją. A to ser, a to wino. Marny zestaw, zubożała spiżarnia, produkty się kończą, ale zawsze coś jednak zostaje. Zajadanie stresów, zapijanie ich, konsumowanie żalu. Pod tym względem ponownie *Wujaszek Wania* w Ludowym dialoguje ze scenerią pozateatralną, z przestrzenią krakowskiego Rynku, krakowskich domów i wszystkich domów. Zajadanie lęku, zajadanie wstydu i desperacka walka o to, żeby to zajadanie było niewidzialne: nie zmienić się, nie przytyć. Mimo to jeść, jeść desperacko, kompulsywnie, bez sensu, wyjeść wszystko do ostatniego okruszka. I mieć kaca, że to za dużo, że niedobrze, że przesada. I że będą konsekwencje. Strach i wstyd, straszny wstyd. ■

TEATR LUDOWY
W KRAKOWIE

Wujaszek Wania
Antoniego Czechowa

tłumaczenie
Agnieszka Lubomira
Piotrowska
reżyseria
Małgorzata
Bogajewska
scenografia
Anna Maria
Karczmarska
reżyseria świateł
Dariusz Pawelec
muzyka
Bartłomiej Woźniak

premiera
3-5 czerwca 2021

premiera online
20-21 czerwca 2021

Scena zbiorowa



Fot. Klaudyna Schubert / Teatr Ludowy w Krakowie